

Panna młoda znad Bałtyku (2)

Pierwszym wrażeniem, jakie odnotowałam na lotnisku w Darwin, był upał i wilgotne powietrze. Czułam się jak w piecu. W czasie planowania mojej eskapady do Australii nie pomyślałam o porze roku. Przybyłam do Darwin w styczniu – a to przecież środek australijskiego lata. Opuściłam Polskę w zimie i teraz jestem oszołomiona różnicą temperatur.



Nie wzięłam też pod uwagę, że Darwin jest pod szerokością geograficzną 12 stopni, Kraków natomiast ma 50 stopni szerokości geograficznej. Byłam tak zamyślona, że poruszałam się wolniej niż inni pasażerowie. Usłyszałam ochryply głos: – proszę się pośpieszyć, proszę przesuwać się według

strzałek do głównego bloku. Szłam w stronę lotniska i już parę metrów dalej musiałam zdjąć kurtkę i sweter.

Odebrałam swoje bagaże i poszłam w stronę „custom gates” – celem sprawdzenia bagaży. Byli już tam tzw. „guards” z psami, które wąchały walizy, szukając narkotyków, jedzenia... Czułam się przestraszona, prawie płakałam. – Co ja tu robie?! Nie podoba mi się tutaj – myślałam. Czekałam długo w kolejce i wreszcie po sprawdzeniu moich bagaży byłam już wolna. Rozejrzałam się wokół, szukając oczami autobusu do Tennant Creek. Znalazłam wreszcie tzw. „bus terminal”, ale nie wiedziałam który autobus tam jedzie. Zauważyłam jednak oznaczenie „information counter”. Byłam tak przerażona i zdeorientowana, że chwilowo zapomniałam jak mówić w języku angielskim, który przecież trochę znałam ze szkoły wieczorowej.

– Nie rozumiem co mówisz – powiedziała miła blondynka w okienku informacji.
– Pokaż mi swój paszport. Aha, jesteś Polką, zaczekaj chwilę, zwołam Bogdana. Odeszła od stanowiska i po chwili pojawiła się z panem ubranym w strój strażnika lotniska. Trudno mi wypowiedzieć jakiej ulgi doznałam gdy Bogdan zaczął mówić do mnie po polsku.



Bogdan pracował na lotnisku i wytłumaczył mi, że muszę złapać autobus do Alice Springs.
– Autobus do Alice Springs jest przy platformie 3. Zatrzymuje się w Tennant Creek. Napiszę ci notkę w języku angielskim dla kierowcy.
– Czy Tennant Creek jest daleko? – zapytałam. – Tak – odpowiedział z

uśmiechem. – Jesteś w Australii, a to wielki kraj.

Czując się teraz pewniejsza, znalazłam autobus na „Bay 3”, wręczyłam notkę i bagaż kierowcy i wybrałam miejsce w autobusie. Zauważyłam, że autobus jest całkiem inny niż te w Krakowie. Kierownica była po prawej stronie. Na froncie autobusu był wielki metalowy zderzak zrobiony ze stalowej rury.

Popatrzyłam przez okno autobusu, gdzie zobaczyłam dziwne drzewa rosnące w pobliżu lotniska. Wiedziałam że to palmy, ale nigdy nie widziałam takich jak te. Popatrzyłam też na moich współpasażerów, mieli ciemną skórę, jak Murzyni, których czasem widywałam w Krakowie. Ich sylwetki i włosy były jednak trochę inne. – Pewnie to Aborygeni – pomyślałam. Wszyscy pasażerowie mieli na sobie lekkie ubrania. Musiałam wyglądać trochę dziwnie w mojej bawełnianej bluzie i wysokich butach oblamowanych futerkiem.

Coraz więcej pasażerów wsiadało do autobusu. Starsza kobieta usiadła obok mnie. – Where are you going? – zapytała. – Jadę w odwiedziny, uhm..., do znajomego. Mieszka on na farmie-cattle station, koło Tennant Creek – wyszeptalam moim łamanym angielskim. – Och, jesteś z Europy – powiedziała kobieta, rozpoznając inny akcent. – Ja kiedyś mieszkałam w Tennant Creek. Jak nazywa się ta farma?

Nie pamiętałam nazwy, więc wyjęłam email Andrzeja z torebki.

– Nazywa się Sandy Downs – powiedziałam. Kobieta wyglądała na zdziwioną.

– Sandy Downs?! – wykrzyknęła. – O tak, wiem gdzie to jest.



Nic więcej nie powiedziała o tej farmie, ale jej reakcja podziałała na mnie niepokojąco.

Zacząłam marzyć o bezpiecznym Krakowie, gdzie przeżyłam tyle lat, choć przecież byłam w Australii zaledwie kilka godzin.

Autobus opuścił lotnisko i zobaczyłam trochę widoków miasta

Darwin z okna. Było to nowoczesne miasto, ale zupełnie niepodobne do Krakowa. Kobieta zauważyła, że rozglądam się po okolicy. – To miasto było zrównane z ziemią w latach 70-tych, powiedziała. Jednak większość budynków odbudowano. Byłam zdziwiona: – czy to była jakaś wojna? Kobieta zaśmiała się .

– Nie, to był cyklon.

Wkrótce opuściliśmy Darwin i zaczęliśmy jechać główną autostradą. Droga była płaska i szeroka i kierowca zwiększał stopniowo szybkość pojazdu. Roślinność zaczęła się zmieniać. To już nie był tropik. Nie było trawy, a tylko parę drzew i gdzieś tam trochę krzaków. Siedziałam na przednim siedzeniu więc miałam dobry widok z okna. Nagle wielkie zwierzę skoczyło na środek drogi. Kierowca nawet nie zwolnił. Zwierzę odbiło się od metalowego zderzaka na przodzie autobusu. Spojrzałam do tyłu. Zdechłe zwierzę leżało na poboczu drogi. – Przeklęte kangury – powiedziała kobieta siedząca obok mnie. Zderzak jednak na coś się przydaje.

Jechaliśmy prawie całą noc, ale nie mogłam spać. Znów parę kangurów i struś stały się ofiarą morderczego zderzaka.

Ostatecznie przybyliśmy do Tennant Creek. Nie mogłam wprost uwierzyć, że jestem tak daleko od miasta Darwin. Nowe miasteczko było wypalone słońcem i niezbyt przyjemne. Okolica była kompletnie płaska. Czułam się bardzo zmęczona i wystraszona tym obcym miejscem i sytuacją. Na przystanku miał czekać na mnie Andrew. Mieliśmy się spotkać pierwszy raz.

Byłam bardzo niespokojna. Zobaczyłam mężczyznę stojącego obok dużego samochodu, który miał napęd na cztery koła, landcruiser. Nie wyglądał jak pan z fotografii, którą dostałam od Andrzeja. Podeszłam do niego i zapytałam: – Andrew? Mężczyzna zaśmiał się rubasznie.
– Nie, nie jestem Andrew... On pracuje, zagania dzikie krowy... Ja mam na imię Bluey. Razem pracujemy w Sandy Downs.



Bluey zabrał moją walizkę i rzucił ją na tył swego samochodu, obok dziwnie wyglądającego psa, który zaczął warczeć. – Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział Bluey. Wdrapałam się do wehikułu i wyjechaliśmy z miasta kierując się na drogę pokrytą żwirem..
– Twój samochód trzęsie, jest niezbyt wygodnie. Jak daleko jest Sandy Downs? – zapytałam. – Jakieś 150 km – odpowiedział Bluey.

Po kilku godzinach jazdy po zakurzonej, nierównej drodze dotarliśmy do bramy na farmie. Ponieważ byłam pasażerką, musiałam wyjść aby ją otworzyć.
– Myślałam, że nigdy tu nie dotrzemy – powiedziałam z ulgą. Bluey jednak szybko rozwiał moje złudzenia, gdy myślałam, że już

koniec tego upału i kurzu, mówiąc: – to dopiero połowa drogi!

Jechaliśmy jeszcze kilka godzin zakurzoną drogą. Wreszcie na horyzoncie zobaczyłam parę budynków. – Następny przystanek to Sandy Downs – powiedział Bluey.

Jego landcruiser zatrzymał się wreszcie przy jednym z budynków. – To tutaj, będziesz dzieliła ten domek-cottage z Lucy. Ona pracuje tu jako kucharka. Zabrałam bagaże i weszłam do przydzielonego mi pokoju. – Mężczyźni wrócą dopiero wieczorem – wyjaśnił Bluey zostawiając mnie w tym spartańsko urządzonego pokoiku. – Pracują do wieczora zaganiając bydło – dodał.

Położyłam się na twardym łóżku i zaczęłam pochlipywać aż wreszcie rozbeczałam się na dobre. – Jutro spakuję się i wrócę do Polski – obiecywałam sobie. Chyba zasnęłam na parę godzin, ponieważ następną rzeczą jaką pamiętam był męski głos wymawiający moje imię. To był Andrew.

– Claudia, witam w Sandy Downs... Nie wiedziałam co powiedzieć i zaczęłam płakać.

– Chcę wracać do domu, wyszeptałam przez łzy.

Andrew podszedł bliżej i ujął mnie za rękę. – Proszę, uspokój się – powiedział cichym, spokojnym głosem.

Koniec części 2